

Okradzionym przez kaczystów z emerytur byłym funkcjonariuszom resortu spraw wewnętrznych, poza odwołaniem od decyzji do Sądu Okręgowego w Warszawie, przysługuje specjalny „tryb łaski”. Pisowcy w ustawie represyjno-eutanazyjnej zawarli art. 8a. Ten upokarzający zapis mówi, że były funkcjonariusz może zwrócić się do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o przywrócenie dotychczasowej emerytury. Minister w trybie administracyjnym, jeśli zechce, może to uczynić. Wystarczy, iż uzna, że łącznie są spełnione 3 przesłanki: „szczególnie uzasadniony przypadek”, wyróżniająca się „krótkotrwałą służbą przed 31 lipca 1990 r.” oraz „rzetelnym wykonywaniem zadań i obowiązków po 12 września 1989 r., w szczególności z narażeniem zdrowia i życia”.

Na marginesie – 31 lipca 1990 r. to data powołania Urzędu Ochrony Państwa, a 12 września 1989 r. to dzień utworzenia rządu Tadeusza Mazowieckiego. Już po tym zestawieniu dat widać, że ustawa była napisana wyjątkowo niestarannie, bo zastosowanie dwóch różnych dat do jednego trybu jest absurdalne.

Kryteria, jak widać, są nieostre i dają możliwość dość swobodnej interpretacji. Po to zresztą ten zapis wprowadzono – żeby w razie czego ocalić swojaków. Pisowcy mają przecież również w byłych służbach swoich Piotrowiczów.

Według informacji Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych (FSSM) około 8 tysięcy poszkodowanych zdecydowało się wystąpić do ministra w trybie art. 8a. Sprawy są rozpatrywane bardzo opieszale, za co poprzedni minister Mariusz Błaszczak został ukarany grzywną w wysokości 200 zł. Na razie decyzje otrzymało około 200 osób. Federacji nie wiadomo o żadnej decyzji pozytywnej.

Zwolennicy PiS i tzw. symetryści, przyparciu do muru konkretnymi przykładami skrzywdzonych emerytów mundurowych, wdów i sierot, odpowiadają, że przecież w ustawie jest art. 8a i minister w oczywistych przypadkach z pewnością niedostatki legislacji naprawi.

Nic z tego. Nie po to kaczyci upokorzyli byłych funkcjonariuszy, żeby teraz wyciągać do nich rękę. Oto 2 przypadki, które świadczą o tym, że pisowcy nie mają najmniejszej ochoty naprawiania krzywdy, jaką wyrządzili temu środowisku.

Piotr Wróbel

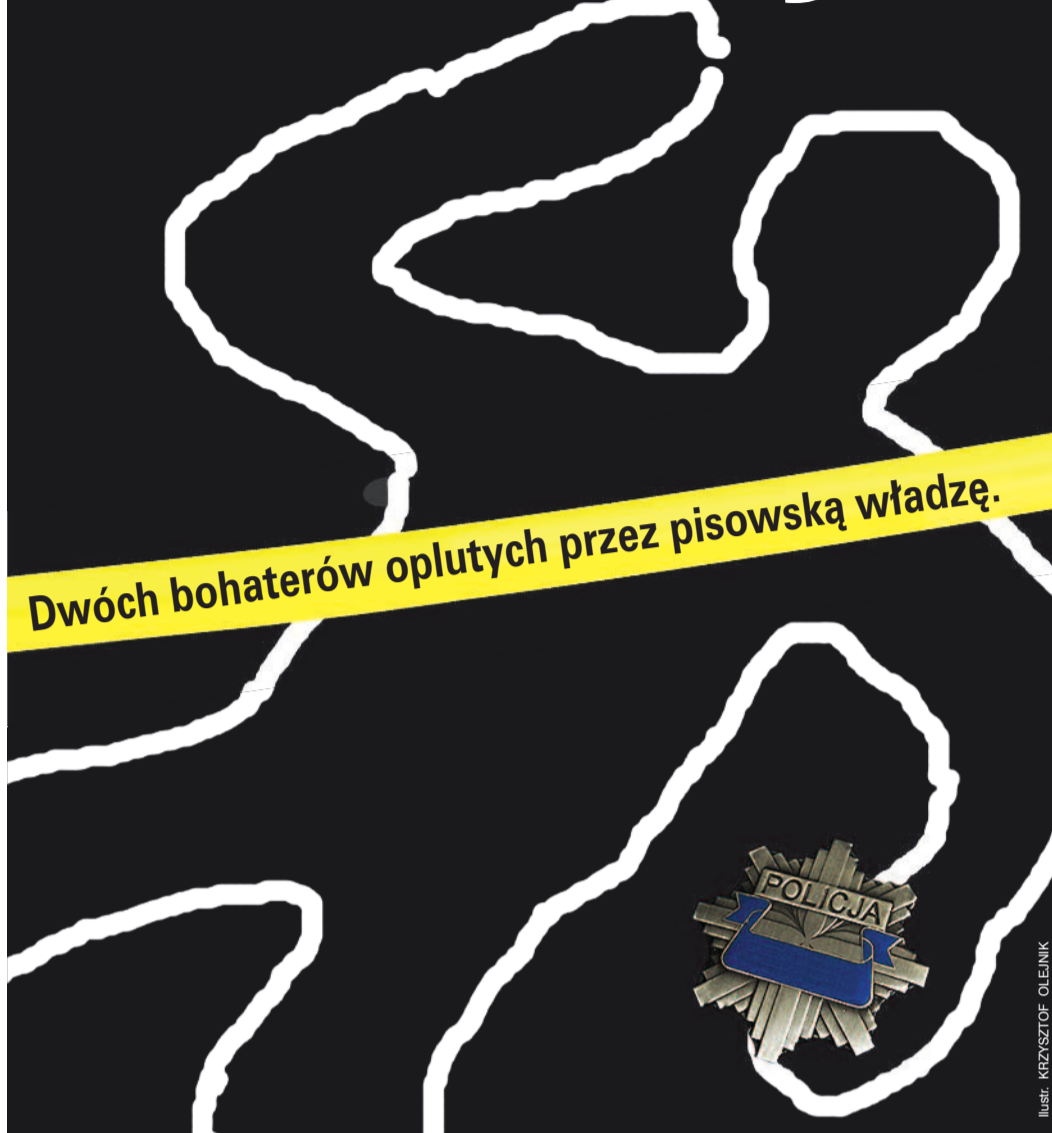
to postać w policji legendarna. Prowadził najbardziej znanego świadka koronnego o pseudonimie Masa. Rozpracowywał mafię pruszkowską. Nigdy nie ukaźnik niebezpieczeństwa, na pierwszych liniach z narażeniem życia zwalczał szalejącą w latach 90. w Polsce przestępczość zorganizowaną. Były to czasy, gdy niemal co tydzień dochodziło do strzelanin, zamachy bombowe były normalnym sposobem wyroównywania rachunków, a świat polityki i wymiaru sprawiedliwości przeżarty był korupcją. Wróbel tak załaził za skórę mafiosom, że stał się ich głównym celem. Zemstą za realne rozmontowanie grupy pruszkowskiej była próba uwikłania go we współpracę z gangsterami. Wróbel został oskarżony m.in. przez „Masę” i przesiedział na ławie oskarżonych 17 lat. Niedawno został prawomocnie oczyszczony z wszystkich zarzutów. W napisanej wraz z Piotrem Pytlakowskim książce „Mój agent Masa” Wróbel nie tylko ujawnia prawdziwe oblicze świadka koronnego, ale przede wszystkim ukazuje, jak wiele kosztowała go walka z bandytami.

Podinspektor Piotr Wróbel załapał się na ustawę „dezubekizacyjną”, bo wybrał szkołę oficerską w Legionowie, którą ukończył w 1989 r.

– To, czego nauczyłem się w tej szkole, zawoocowało sukcesami w zwalczaniu mafii. Gdyby nie przygotowanie merytoryczne, które wyniosłem z Legionowa, nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać – twierdzi Wróbel. – Większość kolegów z pionu przestępczości zorganizowanej, a później z Centralnego Biura Śledczego miała ukończone Legionowo lub Szczytno. To oni położyli kres wszechwładzy gangów w Polsce. A dziś państwo w nagrodę odbiera im emerytury! – dodaje rozgoryczony.

Faktycznie do morderczej walki z Pruszkowem i Wołominem byli potrzebni najlepiej wyszkoleni funkcjonariusze. Gdyby przesłedzić życiorysy policjantów skutecznie walczących z gangami, okaże się, że ponad 80 procent z nich skończyło szkołę oficerską w PRL. Tam nauczyli się fachu i ta wiedza pomogła im zwalczyć przestępcze podziemie.

Łaskawcy



Podinspektor Wróbel w trybie 8a zwrócił się do ministra 18 lipca 2017 r. Odpowiedź nadeszła 22 stycznia 2018 r. – nieco ponad pół roku później. Pod decyzją podpisał się z upoważnienia ministra spraw wewnętrznych dyrektor Departamentu Porządku Publicznego Andrzej Sprycha.

Wróbel, wydawałoby się idealny przypadek do zastosowania trybu z art. 8a, na łaskę jednak nie zasłużył. Dlaczego?

Po pierwsze, okres służby „na rzecz państwa totalitarnego”, jak pisze dyrektor Sprycha, nie może być oceniony jako krótkotrwały, co jest jednym z trzech wymogów zapisanych w art. 8a. „W przedmiotowej sprawie służba zainteresowanego pełniona była na rzecz totalitarnego państwa przez okres 3 lat, 4 miesięcy i 23 dni. Całkowity okres służby strony wynosi 15 lat, 1 miesiąc i 2 dni, zatem strona pełniła ponad 22 proc. całego okresu służby na rzecz totalitarnego państwa”. Sprycha pomija zupełnie fakt, że był to czas, w którym Wróbel uczył się policyjnego fachu w Legionowie. Nie zauważa też, że policjant służyłby dłużej w współpracującej policji, gdyby nie prowokacja gangsterów, którzy oczernili go i posadzili na kilkanaście lat na ławie oskarżonych.

Po drugie, dyrektor Sprycha negatywnie ocenia również drugą z przesłanek umożliwiających zastosowanie prawa łaski. Zdaniem siedzącego za wygodnym biurkiem dyrektora w przypadku oficera Wróbla „brak jest jakichkolwiek dowodów, aby służba pełniona była z narażeniem zdrowia i życia”. Gdyby kiedykolwiek w życiu pan Sprycha natknął się na antyterrorystów, którzy wspólnie z Wróblem prowadzili akcję przeciwko mafii pruszkowskiej, to mógłby ich zapytać o to, czy faktycznie nie narażali życia. Obawiam się, że byłoby to ostatnie pytanie, jakie w życiu by zadał, ciesząc się kompletem własnego uzębienia.

Po trzecie, Wróbel nie spełnia nawet trzeciej, najbardziej ogólnej przesłanki trybu 8a, mówiącej o szczególnie uzasadnionym przypadku, gdyż zdaniem dyrektora Sprychy podinspektor Wróbel, jeden z policjantów, którzy zlikwidowali gang pruszkowski, „nie legitymuje się wybitnymi osiągnięciami w służbie, szczególnie wyróżniającymi ją na tle pozostałych funkcjonariuszy”.

Wojciech Raczuk

do ministra zwrócił się w trybie 8a 14 sierpnia 2017 r. Odpowiedź nadeszła 10 stycznia 2018 r., czyli po pięciu miesiącach. Ten sam dyrektor Sprycha postanowił po wnikliwym rozpatrzeniu odmówić. Tym razem sprawa jest prosta. Raczuk nie służył po roku 1989, nie mógł więc wykazać się „rzetelnym wykonywaniem zadań i obowiązków po dniu 12 września 1989 r., w szczególności z narażeniem zdrowia i życia”.

Faktycznie nie mógł. 8 lutego 1982 r. Wojciech Raczuk jako porucznik Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Białej Podlaskiej ruszył w pościg za jednym z najniebezpieczniejszych wówczas przestępców. Ścigany kryminalista Józef Korycki był bezwzględny mordercą strzelającym do ludzi z zimną krwią. Porucznik Raczuk w pogoni za bandytą wykazał się bohaterstwem, które o mały włos nie kosztowało go życia. Przyjął 6 strzałów z broni automatycznej. Bandyta walił do niego z pepeszy jak do tarczy. Mili-cjant w stanie krytycznym trafił do szpitala. Lekarze i koledzy ze służby byli przekonani, że już się z tego nie wylży. A jednak przeżył, jest inwalidą z orzeczoną II grupą. 35 lat później okazało się, że w czasie gdy nieprzytomny walczył o życie w szpitalu, koledzy zrobili mu przysługę. Przenieśli go z etatu milicyjnego na etat „esbecki” – zastępcy kierownika komisariatu ds. polityczno-wychowawczych w Łosicach. Dawało to nieco większą rentę inwalidzką lub ewentualnie trochę większą rentę wdowie, gdyby nie przeżył. Raczuk nie miał na to wpływu, gdyż jedyny namacalny kontakt, jaki wtedy miał, dotyczył kroplówek. Do służby oczywiście już nie wrócił. W taki sposób bohaterów milicjant został ustawą kaczystowską zakwalifikowany do „oprawców służących państwu totalitarnemu”. Wskutek czego Raczuk zamiast 2866 zł renty inwalidzkiej otrzymuje obecnie 854 zł, co nie starcza mu nawet na leki.

W uzasadnieniu negatywnej decyzji dyrektor Sprycha delikatnie poucza Raczuka, że powinien w tej sprawie zwrócić się do Instytutu Pamięi Narodowej, bo to na podstawie wniosku z IPN odebrano mu rentę. Porucznik Raczuk tak też uczynił i właśnie otrzymał z IPN odmowę. W uzasadnieniu naczelnik czegoś tam (nieczytelna pieczęć) Marcin Krzysztofik napisał, że instytut „podtrzymuje swoje dotychczasowe stanowisko dot. przebiegu Pana służby (...), gdyż Zarząd Polityczno-Wychowawczy i jego odpowiedniki terenowe są literalnie wpisane w ustawę (...) zatwierdzoną przez Sejm i podpisaną przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej”.

Gdy słyszycie zatem, iż ustawa jest może trochę niedoskonała, ale odpowiednie urzędy poprawiają jej negatywne skutki, nie wiercie w ani jedno słowo.

Pisowcy

kłamią. Z lubością znęcają się nad starymi i schorowanymi ludźmi; gównu ich obchodzi, kim oni byli i czego dokonali. Sadystyczne i nieludzkie zachowania aparatu władzy są nieodzowną częścią każdego systemu totalitarnego.

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Piłaci

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej skazuję was na kaczym.

Z Sądu Okręgowego w Warszawie wyszło zapytanie do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zgodności z konstytucją ustawy z 16 grudnia 2016 r. Chodzi o haniebny akt prawny pozbawiający znacznej części świadczeń grupę 55 tysięcy emerytów mundurowych, czyli ustawę represyjno-eutanazyjną, nazywaną nie-słusznie dezubekizacyjną. Wniosek ten wstrzymuje wszelkie postępowania w ponad 30 tys. spraw do czasu zapadnięcia rozstrzygnięcia w TK. To najczarniejszy scenariusz. Wiadomo, co niby-prezes Julia Przyłębska wraz z imitującymi sędziów dublerami zrobią. Nie mam cienia wątpliwości, że przy kawie i ciasteczkach stwierdzą zgodność tego bubla prawnego z ustawą zasadniczą.

To oznacza, że sędziowie umyją ręce. Nie będą umierać za „esbeków”.

Na podstawie opinii atropy TK będą mogli z czystym (w ich mniemaniu) sumieniem oddać skargi osób pokrzywdzonych.

Wszyscy – zaangażowani w pomoc mundurowym – wiedzieliśmy, że nie należy kierować tej ustawy do atropy Trybunału Konstytucyjnego. Posiłowaliśmy o to posłów opozycji – zrozumieli i powstrzymali się przed tym pozornie oczywistym krokiem. Apelowaliśmy też do środowiska sędziowskiego. Liczyliśmy, że sędziowie będą rozstrzygać sprawy emerytów mundurowych, uznając ustawę za oczywiście niezgodną z konstytucją. To im wolno (stosowanie konstytucji bezpośrednio) bez oglądania się na TK. Niestety nie starczyło odwagi.

Bardzo łatwo i szybko padł ostatni bastion obrony demokracji, jakim było środowisko sędziowskie. Chciałbym się mylić, ale dotychczasowe doświadczenia nie napawają optymizmem. Jedna sędzia Beata Morawiec i jeden sędzia Igor Tuleya wiosny nie czynią.

Moim zdaniem dla emerytów mundurowych w zasadzie kończą się rozważania o poszukiwaniu sprawiedliwości przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Poszkodowanym pozostaje długa i niepewna droga przez trybunał w Strassburgu oraz oczekiwanie na głęboką zmianę polityczną. Na tyle głęboką, żeby oznaczała całkowite przywrócenie ich praw nabytych. Wielu niestety nie doczeka.

To zdarzenie upoważnia też do nieco szerszego, nie tylko oczami mundurowych, spojrzenia na czekającą nas przyszłość.

Pamiętacie hasło „Nie straszcie PiS-em”? Gdy premier Ewa Kopacz musiała się grubo tłumaczyć ze swojego żarliwego wystąpienia w Sejmie? Gdy zarzucano jej, że straszy bezzasadnie, że budzi złe emocje, że odstrasza elektorat? Gdzie są teraz ci, którzy wyzywali się na premier Kopacz?! Jak się czujecie, polityczni idioci?

Dziś, gdy mówię, że każdy, nawet kryształowo czysty człowiek, pod byle pretekstem może trafić do więzienia, słyszę chór Chamberlainów znad Wisły mruzcą, że bym nie siał paniki. Przecież są sądy! Sądy niezawisłe, które rozpatrzą sprawę i niewinnego niechybnie uwolnią. Serio?

Gdy twierdzą, że wystarczy kaprys nienawistnego dyktatora z Żoliborza, żeby odebrać koncesję każdemu prywatnemu nadawcy, w tym również gigantom informacyjnym, takim jak TVN, Agora czy Polsat, słyszę, że przecież żaden sąd nie utrzyma takiej decyzji w mocy. Czyżby?

Gdy wrzeszcze prorokują, że wybory zostaną sfałszowane, jeśli nie wypadną po myśli kaczystów, słyszę, że na szczęście mamy sądy, które wyniki wyborów zweryfikują. Naprawdę?

A co, jeśli środowisko sędziowskie, na które tak liczymy, w większości nie składa się z bohaterów? Miękkie przejście z demokracji do dyktatury ma to do siebie, że odbywa się bez barykad, strajków generalnych i zamieszek. To codzienna cicha kapitulacja poszczególnych ludzi, którzy poświęcając zasady, wybierają spokój, rodzinę, dostatnie życie, intratną posadę, karierę. Dramatyczne batalie rozgrywają się w ich głowach, a w najlepszym razie w wąskim kręgu znajomych, rodziny. Reszta tego nie widzi. Zajęci codziennością obywatele nie dostrzegają różnicy. Wciąż mogą przecież pyskować w internecie, utyskiwać w kolejce do lekarza, ponarżekać na władzę z taksówkarzem. Gdy przyjdzie opamiętanie, będzie już za późno.

A.R.

PS Wskutek ustawy represyjno-eutanazyjnej śmierć poniosły już 32 osoby.